



Bravo, maestra

Zajmuję się sztuką o Marii Callas, z tytułowaną „Kurs mistrzowski”. Cały pierwszy akt Callas nie pozwala nikomu zaśpiewać albo przerywa po pierwszym dźwięku. Wszystko jest złe, nic jej się nie podoba. Jakby nie mogła znieść, że ktoś profanuje jej ukochaną muzykę, z którą wiążą się jej największe triumfy, która przypomina najwspanialsze momenty z jej życia.

Zachwyca mnie to, bawi, jest w tym coś bardzo prawdziwego.

Przypomina mi historię z mojego życia w szkole teatralnej i relacje z jedną z najbardziej zachwycających osób, jakie dane mi było spotkać w życiu – Panią Profesor Janiną Romanówną, wielką aktorką, wspaniałą kobietą i niezwykłym pedagogiem.

Szybko zorientowaliśmy się, że najwspanialsze spotkania z Panią Profesor to te, podczas których Ona gra, parodiując nasze błędy lub pokazując coś, co trudno jest przekazać słowami. Wtedy uczyliśmy się najwięcej. Cała sztuka polegała więc na tym, żeby Ją sprowokować, wywabić zza stolika. Wynajdowaliśmy w tym celu tysiące powodów, wybiegów i sposobów. Nigdy nie zapomnę Jej absolutnie genialnych pokazów: jak postugiwać się wachlarzem, szalem, jak radzić sobie z trenem u sukni albo w jaki sposób chodzić i siadać we fraku. I zawsze będę pamiętać, jak kiedyś na zajęciach zagrała grubego, chorego Dauma z „Panny Maliczewskiej” – niedoścignionego w wyrażaniu przebogatej gamy uczuć (tak jak nigdy nie zapomnę profesora Zapasiewicza, który – zniecierpliwiony nami, zagrał scenę obłędu Ofelii. Była to najbardziej niezwykła, krucha, bezradna i nieszczęśliwa Ofelia, jaką można sobie wyobrazić).

Pani Profesor Romanówna nie cierpiała mnie. Uosabiałam wszystko, czego nie lubiła. Nowoczesna, krótko ostrzyżona, przeraźliwie chuda, bez piersi. Dziewczyzna- chłopak, bez wdzięku i cienia tego, co kobiecością się nazywa. Mówiła: – Moja złota Jando, (ach, to cudne „I” przedniojęzykowe, które dla mnie było nieosiągalne, którego nie chciałam się uczyć i w mojej głupocie uważałam za bzdurę i szczyt nieprawdy. Mówiłam z pogardą: – Do muzeum! A bez tego „I” cały Fredro i Mickiewicz brzmią naprawdę gorzej). Nie dość, że jesteś niezdolna, to masz jeszcze nazwisko do cyrku. Umaluj się. (Chodziłam zupełnie nie umalowana i też szczerze mówiąc, nie bardzo się prywatnie sobą zajmowałam, najważniejsza była „twórczość”). Umaluj się, bo wyglądasz jakbyś przed chwilą rzygała. Jak chłopcy chcą się z tobą całować? Proszę na moich zajęciach być umalowaną i być kobietą!

Nie obrażałam się, bo uwielbiałam Ją. Na Jej zajęcia szłam więc umalowana jak stary płot, aż w końcu Jej asystent, Piotr Fronczewski, przeprowadził ze mną poważną rozmowę, w której dał mi do zrozumienia, że przesadzam.

Zapytała pewnego dnia, co chcielibyśmy zagrać na egzaminie. Oczekiwała propozycji scen, nad którymi chcemy pracować. Natychmiast zgłosiłam „Pigmaliiona”, scenę, w której Eliza rzuca kapcia-

mi w Higginsa. Pani Profesor zamarała. Eliza w „Pigmalionie” i Elwira w „Mężu i żonie” były Jej największymi rolami, grała je zachwycająco. W jej oczach moja beczelność nie miała granic. Eliza – uosobienie wdzięku, kobiecości i ... ja. Powiedziała: – Jak chcesz, ale nawet najzdolniejsza i najładniejsza studentka, jaką znalazłam w tej szkole, Ewa Wiśniewska, miała problem z tą sceną. Na każde zajęcia przygotowywałam wersję tej sceny i za każdym razem nie pozwalałam mi zagrać ani kawałka. Przerywała mi najczęściej już na samym początku; nie podobało Jej się wszystko. To na przykład, że wchodziłam w kapeluszu. Krzyczała: – Stop! Zdejmij to ułatwienie z głowy! Albo: – Stop! Jak ty chodzisz! Eliza chodzi małymi krokami... I tak dalej. Przez dwa miesiące nie wyszłam poza pierwsze zdanie tej sceny. Zaczęła się między nami jakaś tajemnicza walka. Ona przerywała, ja się zacinałam coraz bardziej. Koledzy przed każdymi zajęciami zakładali się, w którym momencie mi przerwie. Wojna trwała.

Przeczytałam wszystkie istniejące opisy mówiące o tym, jak Ona to grała, wypytałam wszystkich pamiętających Ją w tej roli profesorów o szczegóły, obejrzałam wszystkie zdjęcia. Wiedziałam wszystko. Postanowiłam zagrać tak, jak Ona. Założyłam się z całą szkołą o skrzynkę wina, że tego dnia mi nie przerwie. Cała szkoła położyła się na korytarzu pod drzwiami audytorium. Koledzy z roku siedzieli w napięciu, czekając na rozwój wydarzeń.

Nie zdążyłam wejść, od razu krzyknęła: – Stop!

Buchnęła śmiechem, koledzy ze śmiechu tarzali się po podłodze. Zapytała zdziwiona: – Kto kichnął? A ja zaczęłam krzyczeć i walić pięścią w Jej stół: – Dlaczego? Dlaczego? To niesprawiedliwe! Nie pozwoliła mi zagrać nigdy tej sceny! Nawet spróbować zagrać! Przez całe dwa miesiące! Dlaczego Pani mi tym razem przerwała? Odpowiedziała: – Bo dywanik leżał z lewej strony!

Po latach dostałam propozycję zagrania Elwiry w „Mężu i żonie”. Podobno ani przed Profesor Romanówną, ani po Niej, nie było takiej Elwiry, jak w słynnym przedstawieniu Bohdana Korzeniewskiego. Wyszukałam w archiwum Kroniki Filmowej dwudziestominutowe nagranie z tego przedstawienia, w większości bez dźwięku. Postanowiłam powtórzyć wiernie ten fragment, najdokładniej jak umiem. Ukłonić się przed Nią najgłębiej jak potrafisz.

Dzięki temu fragmencikowi roli rozszyfrowałam interpretację całości, na którą sama bym nie wpadła, a każdego wieczora, kiedy gram ten fragment, reakcja publiczności jest nadzwyczajna. Dokładnie się sprawdza! Powtarzam wiernie Jej modulację głosu, pauzę, zawieszenie i ruch ręki. Zawsze słyszę śmiech, często brawa. Bravo! Bravo Maestra! Bardzo, bardzo dziękuję! ✚

Krystyna Janda